



Mirosław Derecki (M.D.)

## EKRAN I WIDZ: ROZKOSZNY BARBARZYŃCA

William Faulkner indagowany na jakimś spotkaniu literackim co myśli na temat ostatnich wydawniczych bestsellerów odparł: „Nie mam o nich najmniejszego pojęcia. W ogóle, to od lat czytam wciąż jedną i tę samą książkę”. „Co to za książka?” - zapytano. „Bibila” - odparł krótko wielki pisarz.

Oczywiście, w tym stwierdzeniu autora „Absalomie, Absalomie!”, „Sartoris”, „Niewycięzonych”, „Azylu” - było wiele przekory. Ale wszak faktem jest, że właśnie ze Starego Testamentu czerpał znakomity Amerykanin inspirację do wielu swych powieści, zresztą - nie on pierwszy i nie ostatni spośród artystów.

Temat „biblijny” w kinie - to przede wszystkim ekranowe superprodukcje Cecila de Mille: „Dziesięcioro przykazań”, „Król królów”, „Samson i Dalila” – odznaczające się ogromnym rozmachem inscenizacyjnym, gigantycznymi nakładami finansowymi oraz najczęściej... fatalnym gustem i całkowitą dezynwolturą wobec faktów historycznych. To właśnie po filmach de Millera zaczęto robić na całym świecie złośliwe dowcipy na temat amerykańskich filmów kręconych na zasadzie: „Kiedy Kara Mustafa, słynny Wielki Mistrz Krzyżacki, stanął do walki pod Płowcami z królem Bolesławem Chrobrym...” itd., itp.

Faulkner, sięgając do historii zawartych w jednej z najwspanialszych ksiąg ludzkości, tworzył dzieła wybitne: de Mille - realizował niepowtarzalne, natchnione kicze, nie pozbawione jednak - skądinąd - znamion wielkości. W ostatnim czasie, czarowi Biblii ulegli także Steven Spielberg wraz z George Lucasem. I oto mamy na ekranach dawno zapowiadanych „Poszukiwaczy zaginionej Arki”. Czyli rzecz o tym, jak sobie twórca „Szczęk” oraz realizator „Gwiezdných wojen” (to on był pomysłodawcą) wyobrażają starotestamentową Arkę Przymierza i okoliczności odnalezienia jej przez współczesnych archeologów. A odnajduje ją, ma się rozumieć, bohater „Gwiezdných wojen”, „Imperium kontratakuję”, „Czasu Apokalipsy” i „Komandosów z Nawarony” - niezawodny Harrison Ford, który tym razem kostium kosmicznego przemytnika Hana Solo, zamienił na strój amerykańskiego archeologa-awanturnika z połowy lat trzydziestych.

Bo rzecz ma się w roku 1936, kiedy Hitler szaleje w Niemczech a gestapo rozsnuwa pajęczą sieć swojej przewrotnej a zbrodniczej działalności na całym świecie. Nie

przepuszczając niczemu, nawet zabytkom najstarszych kultur. Szczególnie zaś bezczelnie poczynają sobie gestapowcy, SS-mani, SA- mani ( i diabli jeszcze wiedzą kto!) na Środkowym Wschodzie, przede wszystkim zaś w Egipcie, gdzie prowadzą wielkie wykopaliska mająca na celu odnalezienie Arki Przymierza. Bo Arka Przymierza to nie tylko przedmiot religijnego kultu Żydów, miejsce, gdzie przechowywano Mojżeszowe kamienne tablice z Dziesięciorgiem Przykazań, ale także - według teorii Spielberga-Lucasa - „pojemnik” zawierający źródło niezwyklej, pozaziemskiej energii, przekazanej niegdyś Narodowi Wybranemu przez niezidentyfikowanych bliżej Przybyszów z Kosmosu. No więc Hitler chciałby mieć Arkę u siebie w Berlinie, żeby przy pomocy tajemnej siły zapanować nad światem. Hitler wysłał do Egiptu bardzo wielką liczbę różnych hitlerowskich zabijaków, brutalni i sadystów, a także przekupił sprzedajnych naukowców z różnych krajów europejskich, i dzięki temu jest już o krok od znalezienia Arki.

Ale wywiad amerykański czuwa. Więc ten wywiad w odpowiednim momencie dowiaduje się, co jest grane i wysyła Hana Solo, pardon, Harrisona Forda, to znaczy - archeologa-naukowca-rewolwerowca-kowboja Indiana Jonesa znanego fajnym chłopcom i dziewczynom pod przydomkiem „Indy”, żeby on pojawił się w odpowiednim momencie we właściwym miejscu i wydarł Niemcom to, co należy się ludzkości. Co oczywiście „Idy” realizuje bezbłędnie (choć nie bez trudu oraz pewnego uszczerbku dla własnej powłoki cielesnej) mając u boku pełną temperamentu aktorkę Karen Allen, przypominającą, jako żywo, księżniczkę Leję z „Imperium kontr atakuje”. W finale - Arka Przymierza płata paskudnego figla hitlerowcom spalając ich na błądy popiół, a „Indy” i jego ukochana Marion - po dostarczeniu cennego depozytu we właściwe ręce - idą na wódkę (bo zapomniałem jeszcze napisać, że śliczna dziewczyna - gdy tego sytuacja wymaga - wali wódkę jak stary huzar, a głowę ma mocną jak stal). Koniec wieńczy dzieło, a Steven Spielberg wieńczy skronie kolejnym reżyserskim wawrzynem...

Spielberg, jak mało który współczesny reżyser potrafi kręcić filmy. Umie widza trzymać w nieustannym napięciu i nawet największe bzdury prezentowane przez niego na ekranie ogląda się od początku do końca z niesłabnącą uwagą. Napisano wiele o „zabawowości” filmów Spielberga, o jego niezawodnym poczuciu humoru, jego celnym, choć nie zawsze najbardziej wybrednym dowcipie oraz o tym, że odwołuje się do istoty prapoczątków kina. Także, że Spielberg uwielbia pastisze i robi sobie, w swych kolejnych filmach, zabawę z różnych gatunków filmowych, z różnych znanych dzieł filmowych, a nawet - pastisze swoich własnych, uprzednio, nakręconych filmów. „Poszukiwacze zaginionej Arki” zawierają elementy filmu przygodowego i filmu grozy, i dzieła antywojennego, i westernu, a wszystko podane w rozkosznie nieodpowiedzialnym, satyryczno-humorystyczno-kpiarskim sosie.

Otóż muszę wyznać, że owa „rozkoszność” filmów Spielberga ( której sam ulegam na Sali kinowej) zaczyna mnie z lekka przerażać. Niezwykła płodność tego młodego, trzydziestopięcioletniego „enfant terrible” amerykańskiego kina, dezynwoltura i nieodpowiedzialność okraszona dziecięcym uśmiechem, z jaką buszuje on, z prawie patologicznie niestrudzoną „lekkością” po rejonach Sztuki, niefrasobliwie mieszając dobro ze złem, piękno z brzydotą, mądrość z brakiem mądrości - każe zadawać sobie pytanie: czy Spielberg jest „cudownym dzieckiem” czy też „rozkosznym barbarzyńcą” kina.

Pierwodruk: „Kamena”, 1984, nr 3, s. 10.